N^er 21. Ćwierćrocze od 1go Kwietnia do 1go Lipca. 1863.

Prenumerata wynosi:

w księgarniach Krakowskich
Bez mód:
Rocznie . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 » — » » »
Kwartalnie . 1 » 50 » » »
Miesięcznie . — » 50 » » »
Z Modami paryskiemi.
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 » 10 » » »
Kwartalnie . 2 » 55 » » »
Miesięcznie — » 85 » » »

ROK III.

NIEWIASTA.

zamiejscowa wraz z opłatą pocztową
Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 » 60 » » »
Kwartalnie . 1 » 80 » » »
Z modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a.
Półrocznie . 5 » 70 » » »
Kwartalnie . 2 » 85 » » »

»Niewiasta« wychodzi co tydzień

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Król. Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 cent. w. a. Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 30 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza.— Rękopismów Redakcya nie zwraca.—Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.** Prenumeratę w miejscu przyjmują wszystkie księgarnie.

Od Redakcyi.

Za zbliżającem się trzeciem ćwierćroczem 1863 r., zapraszamy do wczesnej przedpłaty. Prosimy także o spieszne nadesłanie zaległości, które u pojedyńczych mało znaczą, dla Redakcyi zaś stanowią dość znaczną sumkę.

REJ z NAGŁOWIC.

(Ciąg dalszy.)

Zanim damy wiadomość o życiu i pismach Mikołaja Reja z Nagłowic, (którego pod względem wpływu, jaki wywarł na język, zapewne słusznie nazwano ojcem poezyi polskiej, boć ta wyrobionego organu koniecznie wymaga), niechaj nam wolno będzie przytoczyć jeszcze kilka ustępów z dzieła jego: „*Żywot człowieka poczciwego.*“ Uczynimy to w tem przekonaniu, że bez czytania autora, nikt się z nim poznać nie może, chociażby o jego pismach najwięcej przeczytał traktatów; równie jak i w tem przekonaniu, że, gdy cała zacna nasza przeszłość Płci Pięknej obcą być nie powinna: tedy i cały przebieg literatury ojczystej, o ile to być może—obcym jej być nie może, a więc, że wypada jej znać i początki tegoż przebiegu, zwłaszcza, że u nas były tak znamienitemi. — Otóż następują niektóre zdania naszego autora, tyczące się wychowania, przedmiotu dla Matek-Polek tyle ważnego:

„Rodzicy poczciwi, gdy się im rodzą dziatki, mają pilnie obaczać, jeśli nie z planet, tedy wżdy z przyrodzenia ich, ku czemuby się na potem sprawy ich i postępki ich pociągać miały. Bo snadnie koleryka poznasz i po sierści, bo się urodzi czarno, melankolik lisowato, flegmatyk blado, krewnik z biało-rumiano. A także wnet i z przypadków i z młodych jeszcze obyczajów dziecinnych snadnie się obaczyć może, ku czemu się którego przyrodzenie ściąga. Bo wisię będzie krewnik wnet wszystko śmiał a igrał, flegmatyk spał a drzymał, koleryk się gniewał, melankolik się frasował, a wszystko mu się nie w czas będzie zdało. A jeśli mu k'temu dodasz pokarmu takiegoż, tedy jedno z drugiem pomięszawszy się jeszcze, będzie więtszą moc w onem przyrodzeniu miało. A tak Panie Matki, a zwłaszcza które są przyrodzenia dobrego, barzoby dobrze, aby samy dziatki swe i karmiły i wychowywały. A jeśliżeby tak być nie mogło, tedy iście pilnie trzeba szukać mamki nie kordiacznej, nie melankolicznej, nie frasownej, ale coby była przyrodzenia dobrego, obyczajów uczciwych, która aby wnet obaczała, ku czemuby się przyrodzenie dzieciątka onego ściągało; jeśli ku gniewu, jeśli ku ospalstwu, jeśli ku zbytniemu płaczowi albo lamentowi, tedy go po trosze, nie gniewem, nie fukiem, ale jakoby igraniem, a nadobnem i łagodnem upominaniem pohamować, a po trosze go od onego przyrodzenia jego odwodzić będzie potrzeba, aby się wżdy w nim po trosze skromiły ony przyrodzone przypadki jego. Bo widzisz i wosk póki miękki, tedy w się rychlej pieczęć przyjmie, niźli kiedy ztwardnieje.“

Też gdy się już imie dziecię jeść, trzeba mu i pokarmy rozeznawać według przyrodzenia jego. Bo jeśli koleryk, nie dajże mu pokarmów gorących, także i melankolikowi, bobyś jeszcze bardziej podpalił onego gorącego przyrodzenia jego . . . .

Patrz na te kraje, gdzie cebrem piwo piją a pani matka i w sześci niedzielach donice z grzankami czasem nachyli, jacy się chłopi, by żubrowie rodzą, bo jeszcze w brzuchu utyje jako prosię, urodzi się jako cielę a urośnie jako wół. Patrzże zasię na owy winiarze, jako chodzą jako kokoszki z zadrobionemi twarzyczkami, a ledwie go połowica na świecie, a i między chłopy już dziś urodziwszego najdzie, niźli między

tą rozpieszczoną szlachtą, co się winki a papinki zadrobili.

Nie wieżyż mu nazbyt z młodu knefliczków, bryżyczków, pstrych sukienek jako prosięciu, bo jako się tego z młodu nauczy, tak mu się to w pamięć wbije i tak mu się tego napotem zawżdy będzie chciało, a ztąd mu i swawola napotem i wszeteczeństwo snadnie rość będzie mogło a wszak mu to i napotem nie zginie, gdy już ku lepszemu obaczeniu przychodzić będzie. Potem, gdy już będzie podrastać, nie trzeba go też nazbyt w grozie chować, bo ona młodość jego, gdyż jeszcze zmysły słabe we młodem ciele być muszą, tedy zbytnią grozą a frasunkiem snadnie może być zgwałcona, iż potem zawżdy straszliwa, tępa a głupia być musi. Ale bez zbytniej grozy a bez frasunku, nadobnem napominaniem przedsię mu potrosze trzeba ujmować obroków, aby nie rosło jako wierzba, którą jako nachyli, także też rość będzie. Także go też już będzie trzeba strzedz od głupich a od plugawych chłopiąt, od zbytniej czeladzi, bo co z młodu widzi, słyszy, to mu się snadnie wbije w onę młodą pamięć jego, i także z nim będzie rosło. Bo i od starszych to słychamy, iż lepiej to więc pamiętają, co się z młodu około nich działo, niźli co przed małym czasem czynili. Boć może dzieciątko czyście się igrając, i paciorka i łacińskich słów wiele nauczyć, i a, b, c, d, barzo mu się to snadnie igrając w pamięć wbić może . . . .

Także też i panie matki około dzieweczek swych powinny takież pilność mieć, gdyż to jest naród mdły, a na wszystko snadnie ułomny . . . .

Potem gdy już dzieciątko podrośnie, iż mu się zmysły i przyrodzenie lepiej stanowić będzie, starajże mu się pilno o jakiego cnotliwego, statecznego, trzeźwego a pomiernego preceptora, aby nauki słuszne i obyczajnie poczciwe, mógł z niego brać i obaczać. A najlepiej go doma do czasu pochować, bo wżdy i rodziców i preceptora po trosze się przestrzegać będzie, i lepszy wczas w swem młodem wychowaniu mieć może: i wżdy z onemi sprosnemi chłopięty szkolnemi pospołu rość nie będzie i ich obyczajów sobie do młodej głowy nie nabije . . . .

Nie dajże się z nim z młodu łamać twardemi a wichrowatemi naukami, boć mu snadnie w młodej głowie wszystko pomieszają, ale co najpilniej uczyć go czyść a pisać, a potrosze słowa na polski język wykładać, coby mu ku cnotom a ku poczciwym obyczajom one młode przyrodzenie przywodziło. — Boć wierzę gramatyka z logiką nie wiem by się i staremu czasem nie uprzykrzyła."

(C. d. n.)

SIOSTRZENICE MAZARINIEGO.

(Wspomnienie historyczne.—Zob. N. 17.)

(Dokończenie).

6.

Hortenzia Mancini nie była w pożyciu małżeńskiem szczęśliwszą od swojej siostry Maryi. Karol IIgi angielski, bawiący natenczas jako tułacz w Paryżu, starał się o jej rękę—lecz Mazarini w imieniu siostrzenicy odmówił. Jeszcze i inni książęta i podupadli członkowie królewskich domów, rzucili się do nóg siostrzenicy wszechwładnego kardynała — pierwszeństwo otrzymał młody dziedzic książęcego domu La Meilleraye. Był to czysty interes. Kardynał czując się już bliskim grobu, starał się koniecznie unieśmiertelnić swoje imie i swoją pamięć. Miał on wprawdzie synowca Filipa, ale nie wierzył, aby ten potrafił godnie odpowiedzieć takiemu zadaniu. Wybór padł na Armanda de La Meilleraye, który pod warunkiem, że się będzie nazywał księciem Mazarinim, został mianowany głównym spadkobiercą kardynała, a razem z ręką Hortenzyi otrzymał niezliczone miliony, pyszne pałace i książęce dobra. Wesele odprawiło się r. 1661; wkrótce potem umarł kardynał na wielką uciechę spadkobierców. Armand miał po prostu bzika a przytem nadzwyczajną chętkę do pieniactwa. Zawikławszy się naraz w 300 procesów, ani jednego nie wygrał. Te i tym podobne dziwactwa pochłonęły cały olbrzymi majątek. Nadzwyczaj zazdrosny— nigdy długo na jednem miejscu ze swoją żoną nie posiedział — żył prawie ciągle w podróży, nareszcie obawiając się nawet cienia mężczyzny, zamknął ją w klasztorze—odebrawszy jej wszystkie klejnoty; lecz zdołała ztamtąd uciec, przebrawszy się w męzkie suknie i schronić się w gościnnej Lotaryngii. Odtąd przeżyła wiele lat, bądź to u swojej siostry Colonny, bądź w Subardyi; nareszcie osiadła stale w Anglii, gdzie od Karola IIgo i jego dworu nadzwyczaj gościnnie przyjęta — była uwielbianą od młodzieży, opiewaną przez poetów. Po upadku Stuartów, mniej ugrzeczniony Wilhelm III. wyznaczył jej tylko 2000 funtów szterlingów pensyi — co naturalnie rozrzutnej kobiecie na żaden sposób wystarczyć nie mogło, a że rozgniewany małżonek nic a nic przysełać nie chciał— to też jej drzwi oblegali ciągle wierzyciele. Umarła w Chelsei roku 1699. Evelin pisze pod dniem 11 lipca 1699 r.: Dzisiaj umarła sławna księżna Mazarin, siostrzenica kardynała. Była najbogatszą damą w Europie i, jak wieść niesie, poszła za najbogatszego poddanego. Urodzona w Rzymie, wychowana we Francyi, była nadzwyczaj piękną i dowcipną, ale złych obyczajów i niepohamowanego wstrętu do węzłów małżeńskich, do tego stopnia, że ją mąż był przymuszony opuścić— poczem udała się

do Anglii, gdzie żyła z wycieńczonej pensyi. — Nadmiarowe używanie trunków skróciło jej żywot."

7.

Maria Mancini była jedyną ze siostrzenic Mazariniego, której przy swojej śmierci nie widział zamężnej. Dopiero po zgonie kardynała poszła za księcia Bouillon. Nadzwyczaj rozwiozłych obyczajów, bez żadnej religii, została wywołaną z kraju w skutek jej odwiedzin u trucicielki Voisin. Udała się do Anglii, gdzie bawiła jakiś czas przy swojej siostrze, księżnie Mazarin, a to aż do wstąpienia na tron Wilhelma IIIgo. Ten król odesłał ją do Francyi. Ludwik XIVty pozwolił jej wszędzie mieszkać, byle tylko nie w Paryżu. Przecież po długiem tułactwie powróciła do Paryża, gdzie znowu w towarzystwie wyższem dawne zajęła miejsce. Umarła w roku 1714.

TRZY GODZIN,

NOCNE WIDZENIE;

przez Józefa Dzierzkowskiego.

IV.

Wyznanie.

(Ciąg dalszy.)

Znikły z przed oczów Madeliny mgliste obrazki przeszłości. Jakby cień ich przebiegał czas jeszcze jakiś po jej twarzy, wyraz zmienny co chwila, to bólu, to radości, wyraz pół namiętny, pół natchniony. Pomału twarz Madeliny przybierała coraz więcej powagi. Pamiątki przeszłości zastępywała rzeczywista teraźniejszość. Śliczna była w tej chwili Madelina. Nieruchoma i milcząca, miała w swym całym układzie coś posągowego. Na białem czole promieniła się myśl coraz więcej wybitna i wzniosła.

Tą myślą był sumienny rozrachunek z przeszłością. Młodzi pełni życia i namiętności rzadko czynią taki rozrachunek, któremu przeszkadza burza myśli i uczuć wewnętrzna. Ale Madelina była w wyjątkowem położeniu. Między przeszłością a przyszłością, o której myśl w młodym wieku wzmaga burzę wewnętrzną, stało łoże śmiertelne; a na tem łożu leżał jej mąż, który nim został tak nagle i niespodziewanie.

— I cóż mi zostało z tej przeszłości mojej? pytała sama siebie Madelina.

— Z tylu chwil rozkoszy i trwogi?.. Z tej burzy krótkiego życia przeplatanej i promieniem słońca i łyskawicą piorunów?..

— Co z tej przeszłości zachować mogę na przyszłość?..

— Jaki mi z niej został zasób szczęścia, którybym mogła unieść w dalszą podróż?..

Takie myśli przemykały widocznie prawie po wzniosłem i pięknem czole zamyślonej Madeliny.

— Kochałaś!.. radrgało serce w odpowiedzi.

— Kochałam!.. odbiło się echo westchnienia.

— Kilka marzeń jako pączków cudnych!.. kilka złudzeń krótkotrwałych, gdyby róże, co ledwie jeden dzień wiosny przeżyły!.. ozwało się w młodej główce Madeliny.

— I nie więcej!.. odbiło znowu echo westchnienia.

— Było ich dwóch!.. snuła się myśl dalsza; którzy mnie kochali...

— Dwóch tylko?.. zawołało sumienie, i Madelina szybkim oczu zwrotem spojrzała na umierającego.

— Jestem niesprawiedliwa!.. mówiła dalej sama do siebie. I w tej chwili ścisłego rozrachunku oceniła po zupełnej wartości te wszystkie trzy przywiązania, jakie w życiu zdybała. Myśl jej, rozpamiętywaniem oczyszczona niejako, do tyla zpoważniała, że mogła i umiała być sprawiedliwą.

I zrozumiała egoistyczną miłość Kazia. Serdecznie westchnęła, ale przyznać musiała, co się jej w tej chwili jasnem jak słońce wydało.

— A jak przysięgał?.. szeptała do siebie, i prawie przed pierwszem pierzchnął przeciwieństwem. Przysięgał i porzucił!..

— I nie wróci!.. odzywało się coraz silniej przekonanie, wyrabiające się w piersi.

— Piękne!.. cudne!.. ale złudzenie tylko!..

I Madelina poruszała głową, jakby się z nim na zawsze już żegnała.

— August ten mnie kocha!.. całym uporem swego słabego usposobienia!.. Kocha we mnie tę trochę wdzięków i świeżości!.. kocha, bo postanowił przełamać wszystkie trudności!.. Bo moja twarz, mój talent pochlebiają mu! . Ale kocha mnie!..

— I cóż z tego?.. dodała po chwili, kiedy ja go nie kocham, i wiem, że i on przestałby kochać, gdyby mniej o mnie mówiono, mniej mnie chwalono...

— Egoizm wszędzie!.. biedna ja!.. biedne my kobiety!..

I przez chwilę schyliła głowę smutnie, i jakby w wahającej się niepewności. Zabolało ją przez chwilę serce za ślicznemi złudzeniami. I zadrżała, pomyśławszy, że jest już na wieki przykutą.

— Jesteś żoną!.. żoną starego!.. zdały się jej przedrzeźniać młode pamiątki.

— Żona trupa!..

I Kazio stanął jej raz jeszcze przed oczy w całej pełni świeżych młodości wdzięków. I nawet August wydał się jej w tej chwili daleko piękniejszym, niżeli kiedykolwiek pierwej.

I jakby zły duch, co czycha zewsząd, zaszeptało jej aż do ucha...

— Ale on umiera!.. on umrze!..

Jakby na potwierdzenie, ozwało się ciężkie urwane westchnienie umierającego. Zerwała się Madelina!.. i przestraszonym wzrokiem popatrzała na kapitana. Dziwna zmiana nastąpiła na jego twarzy. Jakiś spokój poważny, głęboki, odbijał się na niej, jakby na zawsze wszystkie ziemskie usunęły się od niego myśli i troski, żądze i namiętności.

Wyraz ten twarzy kapitana przestraszył Madelinę.

— Może to już odbicie ostatniej życia chwili, która wszystka koi i uspakaja.

Uczuła jakby wyrzut sumienia, że choć przez chwilę o śmierci jego pomyślała. Przypomniała sobie przesadne bajeczki dzieciństwa, o tych godzinach i chwilach złowrogich, w których luźne słowo przypadkiem wymówione, staje się słowem przeznaczenia.

Jeszcze raz stanął jej przed oczy i Kazio z tym dawniejszym wyrazem miłości, który go tak cudownie pięknym czynił. I August stanął z swym skarbem młodości, obiecującym długie dnie szczęścia. Była to walka ciężka; ale ostatnia!..

Madelina przesunęła ręką po czole, odgartując zarazem włosy, co się jej zsuwały, i myśli natrętne, które wracały uporczywie.

— On jeden kochał mnie prawdziwie!. Nie wdzięki moje!.. nie tę trochę talentu, jakim mnie Opatrzność obdarzyła!. On jeden mnie samą kochał!.. Kochał nie ciało; ale duszę!..

Coraz żywiej stawało jej przed myślą całe kapitana przywiązanie, tak stałe i niezmienne, a zawsze do wszelkich gotowe poświęceń. Żywo stanęło jej w pamięci całe szlachetne postępowanie kapitana, od pierwszej chwili poznania. On ją wyratował nietylko z nędzy; ale z większego nadto niebezpieczeństwa — zupełnego upadku moralnego. Czem jest!.. jemu winna jedynie. Serce jej rozmiękczone i tem nadzwyczajnem położeniem w jakiem się znajduje, i rozpamiętywaniem przeszłości, przepełniło się niewymowną wdzięcznością. Teraz dopiero zrozumiała zupełnie i oceniła należycie całą wartość kapitana i jego przywiązania bezgranicznego. Zrozumiała co musiał cierpieć, patrząc na jej miłość gorącą i namiętną do Kazia, przy nim samym tyle razy okazywaną.

— Jego siła moralna musi być tak bez granic, jak i miłość do mnie!..

— Mógł mnie porzucić!.. a nie porzucił przecie!.. Każdy inny na jego miejscu byłby to uczynił!.. on nie!.. Wszak i Kazio mnie porzucił!..

Rozczulenie przemagało w jej piersi!.. Oczy jej zapełniły się łzami. Płakała Madelina jak dziecko, i ze łzami co spływały z oczu, zdawała się odrywać od niej cała przeszłość, ze wszystkiemi jej pamiątkami. Postanowienie silne, energiczne, niezmienne wyrabiało się coraz potężniej. Zrozumiała całe położenie swoje; walki wewnętrzne uciszały się; czuła się coraz spokojniejszą...

— Poświęcenie poświęceniem tylko odpłacić można!. mówiła półgłosem.

Padła na kolana przy łożu śmiertelnem, i jęła się modlić, jak się jeszcze nigdy w życiu nie modliła. Ona błagała Boga o życie dla kapitana!..

— Niech żyje tylko!.. modliła się z serdeczną wiarą. A ja odpłacę szczęściem całego życia!.

— I sama będę szczęśliwą!.. odzywało się jej najwewnętrzniejsze przekonanie.

Podniosła się. Z wyrazem troskliwości, niepodobnym do opisania, wpatrywała się w twarz chorego.

— On będzie żył!.. on musi żyć!.. mówiła, miotana to obawą, to nadzieją na przemiany.

— On będzie żył, bo ty Boże jesteś dobry i sprawiedliwy!..

Spojrzała na zegar. Dochodziła już trzecia godzina od chwili, gdy chory zasnął. Czuła, że stanowcza zbliża się chwila, w której waży się życie lub śmierć!.. Słyszała szmer zegara powolny, któremu wtórowało jej serce przyspieszonym biegiem... Patrzała na pomału posuwającą się skazówkę zegara. Sekunda po sekundzie zbliżała się skazówka do godziny trzeciej.

— A jeżeli już się nie obudzi?.. zadrżało boleśnie w jej piersi...

— Jeżeli umrze!.. szepnęła z cicha... i ja umrę!. ja nie chcę żyć bez niego. O mój Boże, zlituj się nademną!..

— Bo ja go kocham, o mój Boże!.. kocham go!. tą lepszą, szlachetniejszą miłością, którą ty Boże sam jako iskrę świętą rzuciłeś w piersi każdemu stworzeniu twemu.

I w tej chwili dziwnego rozrzewnienia i skupionego wewnątrz zapału, schyliła się do chorego.

— Ja cię kocham!.. szeptała nad nim w przekonanin, że to słowo, za które umierający dałby pewnie całe życie swoje, zdoła go obudzić ze snu śmiertelnego nawet.

— Ja cię kocham!.. powtarzała w uniesieniu szczeże, serdecznie i błagająco...

Spojrzała raz jeszcze na zegar. Skazówka dochodziła już prawie do godziny trzeciej. Zasyczał zegar.. to godzina uderzy stanowcza...

— Ja cię kocham!.. zaczęła znowu.

Chory miał oczy zamknięte, ale w tej chwili jakby usłyszał te słowa, twarz blada ożywiła się dziwnym wyrazem radosnego uśmiechu, który mu usta roztworzył... Madelina złożyła ręce, i przycisnęła do żywo bijącego serca. Choremu zadrżały powieki. Godzina bić zaczęła!. Z poza pół otwartych powiek trysnął mały promyczek. To oczy chorego spojrzały na schyloną Madelinę.

— Przemów do mnie!.. szepnęła Madelina... Ty żyjesz!.. Ja cię kocham... Czy słyszysz mężu!.

Oczy chorego rozwarły się i spojrzały ku niej wzrokiem pojętnym. Wyraz nadzwyczaj błogi rozszedł się

po jego twarzy.... Chwilę krótką otwierał usta, jakby nadaremnie przemówić usiłował.

— Madelino!.. szepnął... Ja słyszę i żyję!.

— Dla mnie żyjesz!.. jam to u Boga uprosiła...

Chóry podniósł rękę i porwał w chłodne dłonie jej rękę rozpaloną.

— Ty chcesz żebym żył?. przemówił pewniejszym już nieco głosem.

— Żyj mój drogi!.. bo ja cię kocham!.. jam twoja na wieki!..

— Ty moja!. ty mnie kochasz?. mówił chory.

— Kocham!.. ty mój mąż!.. wyrzekła Madelina, i twarz jej ślicznym okryła się rumieńcem.

Pałająca twarz ukryła w ręce chorego, którą gorącemi całowała ustami. Chory uśmiechnął się, ale uśmiech ten był niepewny jeszcze.

— Dobra Madelino!.. ja się nie śmiem oddawać nadziei!.. ja czuję...

— Czujesz się słabym!. mój drogi!.. ja poszlę za lekarzem...

— Nie, moja Madelino!.. mnie lekarz nic nie pomoże... Ale się nie trwoż!.. Chwila gwałtownego niebezpieczeństwa już przeminęła. Teraz mogę już być zupełnie wyratowany. Tam w biórku, w znanej mi kryjówce, jest mała buteleczka!.. Kilka kropel z niej, a wrócę do życia i zdrowia...

— Gdzie są te krople?..

— Są tam!..

Już chciała biegnąć do biórka, gdy ją zatrzymał kapitan...

— Poczekaj chwilę!.. Czas nagli to prawda, ale za nim zażyję te krople zbawcze, mam jeszcze jeden obowiązek do spełnienia...

— Jaki?..

— Mam ci zrobić jedno wyznanie!..

— Wyznanie?.. Alež nie ma czasu do stracenia!..

— Pierwej wyznanie!.. wysłuchasz!., osądzisz!.. wydasz wyrok!.. inaczej żyć nie chcę!..

Madelina zdziwione na kapitana wypatrzyła oczy.

(C. d. n.)

MARZENIE NA JAWIE.

(Ciąg dalszy.)

V.

Ujrzałem ducha ludzkości na ziemi,
Chwileczkę dumał, wzniósł do góry dłonie,
Sięgnął do słońca: święty ogień płonie
Na ziemi.

Zabrzmiała piosnka, zabrzmiała
Cicho, jak motyla skrzydełko,
Po ziemi przelatywała,
Jak jasnej gwiazdy światełko:

Piosenkę pije dziewica,
Rycerz z nią leci za morze —
Starcowi piosnka przyświeca,
Jak w maju słoneczko Boże.

A po świecie tym szerokim
Idą wieszcze wolnym krokiem,
Cieszą domy, czczą świątynie:
Pieśń potężnym zdrojem płynie.
A ze zdroju tego wodę,
Świętą wodę tego zdroju
Leje człowiek na przyrodę,
I widzi ją w jasnym stroju.

Gdy na marmur kroplę rzuci,
Lub na płótno,
Wnet ocuci
Na marmurze i na płótnie takie życie,
Że gdy marmur młot pokruszy,
Płótno oddasz płomieniowi:
Tyle w nich zostanie duszy
Na dnie przypomnienia skrycie,
Ile trzeba narodowi,
Co drzymie lat pół tysiąca,
W niewoli pół miesiąca:
By skruszyć jarzmo —
I swych przodków kości
Złożyć w świątyni wolności.

Jak . . . cz

OBRAZEK KRAKOWA.

Na lewym brzegu Wisły, oparty o podnóża pagórków, ciągnących się na wschód ku niebotycznym Tatrom, rozciąga się stary, poważny Kraków, dawna siedziba książąt i królów polskich, założony około roku 700—jak niesie wieść—przez Krakusa. Już w Xtym wieku wspominają kronikarze o Krakowie, jako o mieście wspaniałem. Pomimo, że wiek XIIIty bardzo był niekorzystnym dla tegoż miasta, narażając go na napady, tak Czechów i Węgrów, jak i Tatarów, pomimo że w następnych dwóch wiekach często bardzo pożary go niszczyły, to przecież w krótkim czasie zadane mu razy zatarły się— i owszem podniósł się znacznie tak, że z końcem XVgo wieku i przemysłem mieszkańców, i przez związki handlowe na wschodzie i północy, równie jak i z niemiecką hanzą, stał się jednem z znaczniejszych miast europejskich. Dowodem dobrego bytu owoczesnych mieszkańców Krakowa jest

wesele, odprawione w XIVem stuleciu podczas zaślubin Karola IV. cesarza niemieckiego z Elżbietą, córką Bogusława księcia pomorskiego, a wnuczką Kazimierza Wielkiego, króla Polskiego. Dwadzieścia dni trwały uroczystości, bezprzykładnie wspaniałe, do czego nie mało przyczynił się Wierzynek, ów sławny podskarbi królewski, który z radości, że miał szczęście przyjmować u siebie tak wielkiego znaczenia gości — sam 100,000 dukatów rozdał. Że już w owych czasach ludność Krakowa dosyć znaczną była, dowodzą owocześni kronikarze twierdząc, że podczas panującej dżumy 20,000 ludzi wymarło. Z początkiem XVIgo stulecia miał Kraków już 80,000 ludności, i należał do rzędu najpiękniejszych miast europejskich, ożywiony handlem zagranicznym i pielęgnujący najsumienniej w swojem łonie umiejętności i sztuki piękne. Nawet za granicą zasłużył sobie Kraków na pochlebne, powszechnie znane przysłowie: „*Sola Cracovia est Polonia*“ pochodzące z owych błogich dla niego czasów.

Pierwszym królem, w Krakowie koronowanym roku 1319, był Władysław Łokietek, a od tego czasu wszystkich królów polskich aż po Zygmunta IIIgo króla szwedzkiego i polskiego — koronacye tutaj się odbywały i tu było ich mieszkanie, który to ostatni 1596 r. przeniósł sią do Warszawy, w skutek czego tak miasto podupadło, że 1787 r. już tylko 539 domów w nim było i 9,449 mieszkańców. Nie mało też przyczyniły się do upadku Krakowa napady Szwedów i haracz im płacony.—Znowu podniósł się Kraków od r. 1796, to jest od chwili zajęcia go przez Austryą i uczynienia go stolicą Galicyi zachodniej, tak, że roku 1808, miał już 20,000 mieszkańców. Niedługo to atoli trwało, bo w przeciągu następujących 5ciu lat zeszedł znów na stanowisko, jakie przed tym czasem zajmował. Dobry wpływ wywarło na stan miasta uznanie tegoż z okręgiem rzecząpospolitą, bo nastąpił długi szereg lat pokoju.

(*C. d. n.*)

Rzecz Artystyczna.

Szkice z Wystawy sztuk pięknych 1863 r. w Krakowie.

(Ciąg dalszy.)

Przyszłość i dzieje ocenią ich obojętność należycie, wy lepiej zwróćcie oczy wasze na tego, co na uboczu od tego zgiełku balowego, rzucił się w krzesło z myślami, co boleść sprawiają jego sercu; zwróćcie się do tego, na którego twarzy wesołość i swoboda zagasła, i czarny smutek wypisał się czarnem obliczem i zamglonemi oczy. Któż to jest? kto cierpi w tej chwili, kiedy się dwór cały bawi, kto czuje więcej od tych, w których ręku los całego narodu spoczywa... Czekajcie—ja was do niego przyprowadzę bliżej, bo ciemno w tym zakątku komnaty gdzie siedzi; gwiazdy na kawałku czarnego nieba ani kometa ukazująca się na niem, przez na wpółotwarte okno nie dozwalają jeszcze rozpoznać wam tej postaci; chodźcie bliżej... czerwony strój jego, to może purpura królewska?.. Nie!.. nie— to błazen tylko królewski, to Stańczyk! — Tak jest, tak moi drodzy; błazen Stańczyk załamał ręce bolesnie i dzwonki odrzucił na ziemię— bo uczuł dotkliwie klęskę swego kraju, o jakiej właśnie przywieziono wieści na zamek. Przybliżcie się do niego: na stoliku przed nim rozłożone listy, zawierające wiadomość o wzięciu Smoleńska przez Moskali... a on w głębokiej zadumie ubolewa nad tem nieszczęściem, ubolewa jeden sam tylko na dworze, w chwili, kiedy jego uszu dochodzi dźwięk skocznego tańca włoskiej kapeli królowej... I cóż wam się w sercu zrobiło, gdyście ten obraz przedstawili sobie w duszy?.. Co znaczy ten błazen z sercem dobrego obywatela—a co tamci obywatele bez serca? — Czy nie piękna historya? Czy nie bolesna rzeczywistość powtarzająca się tak często u nas?.. Pomyślcie... zatrzymajcie się dłużej przy tym obrazie... ja na zakończenie wam powiem, że taki jest obraz Jana Matejki z Krakowa—wykonaniem artystycznem odpowiadający głębokości myśli i uczuciu, uwydatnionych w głównej jego postaci.

A teraz z pysznego zamku zstąpcie na dół. Komnatę szlachecką opuśćcie wraz ze mną, bo wam ukażę świat trzeci, świat wzniosły i piękny, choć nie królewski, ani nie szlachecki.—Oto pokażę wam niebo krakowskie, i pomnik Tadeusza Kościuszki... Wschód księżycowej tarczy, oświecającej w dali mogiłę dzielnego bohatera—a na przedzie pod figurą Najświętszej Panny pokażę wam naszego chłopka, co z ciężkiej powraca pracy... Kosę zawiesił na plecy, czapkę zdjął z głowy przed figurą, i stanął, i modli się .. modli się Bogu i Najświętszej Pannie—a że z daleka ukazuje się mu grobowiec największego i najlepszego jego przyjaciela, modli się i jemu, czcią, pamięcią, wdzięcznością i nadzieją... Zatrzymajcie się i przed tym obrazem dłużej, niż przed innemi, bo choć prosty i kmiecy... równie silnie przemawia do serca waszego, jak tamte — bo jest sercem i duszą nasz — najbliższy nam... i wpływem swoim najskuteczniejszy może — bo równie skuteczny, jak modlitwa do Najświętszej Panny — i *wierna*, a *dobrze zrozumiana* cześć, należąca się temu, którego mogiłę ślicznym blaskiem księżyca oświeconą widzicie z dala... Obraz ten jest pendzla Aleksandra Kotsisa z Krakowa.

II.

W dalszym ciągu szeregu obrazów, które szanownym Czytelniczkom z Wystawy tegorocznej krakow-

skiej streszczamy— podajemy tu same chwile wzniosłego podniesienia duszy do nieba, chwile odrywające patrzącego od ziemi, i wprowadzające go albo w dzieje święte Bożego zakonu, albo usposabiające serce jego do zwrócenia się ku Bogu i zaniesienia skarg przed Tron Jego na niedolą i krzyże— przyciskające ziemię i ludzi. Będą to, mówiąc krócej, obrazy treści religijnej, w które nadzwyczaj ubogi jest nasz kraj, przecież tak religijny, i tak wierny Chrystusowej nauce. Boć też to nie każdy obraz jest, w naszem pojęciu, religijnem, który jeno świętego jakiego lub świętą przedstawia, tłumacząc swoję myśl złotym łukiem ponad głową przedstawianej osoby namalowaną. Z obrazu religijnego powinna uderzać i świecić ta świętość z twarzy osób, z myśli, w jakiej ich malarz uchwycił— w ogóle z życia, które po całym obrazie powinno być rozlane Jeżeli na dobry obraz religijny patrzysz, przejmuje cię wtedy głębokie uczucie miłości ku Stwórcy, i nieopisana rzewność, napełniająca serce twe spokojem i zadowoleniem z wszystkiego co od Boga pochodzi—i czujesz wtedy to prawdziwe szczęście, do jakiego przeznaczył cię Ojciec najlepszy twój—stwarzając cię na podobieństwo swe.

Otóż takie chwile i takie obrazy ukażemy dziś naszym Czytelniczkom, i rozpoczynamy od obrazu p. Feliksa Szynalewskiego, profesora malarstwa przy tutejszej szkole sztuk pięknych. Przedmiot do tego pięknego obrazu wzięty jest z pisma śgo — tego nigdy nieprzebranego źródła natchnienia i myśli: „Rodzice Chrystusa chadzali na każdy rok do Jeruzalem na święto wielkanocne. A gdy już był we dwunastu leciech, a oni wstępowali do Jeruzalem według zwyczaju onego święta.—I gdy skończyli one dni, a już się wracali nazad, został dziecię Jezus w Jeruzalemie, a tego nie wiedział Józef i matka Jego. Lecz mniemając, że jest w towarzystwie podróżnem, uszli dzień drogi, i szukali go między krewnemi, i między znajomemi. A gdy go nie znaleźli, wrócili się do Jeruzalemu, szukając go. I stało się po trzech dniach, *że go znaleźli siedzącego w kościele, w pośrodku doktorów, słuchającego ich i pytającego ich.—I zdumiewali się wszyscy, którzy go słuchali, nad rozumem i nad odpowiedziami jego. A ujrzawszy go rodzice zdumieli się.* I rzekła do niego matka jego: „Synu, przecz żeś nam to uczynił? Oto ojciec twój i ja z boleścią szukaliśmy cię. I rzekł do nich: Cóż jest, żeście mię szukali? Izaliście nie wiedzieli, iż w tych rzeczach, które są ojca mego, ja być muszę?—Lecz ani nie zrozumieli tego słowa, które im mówił.“ I zstąpił z niemi i przyszedł do Nazaretu.“— (Łukasz R. 11 w. 41—51). Otóż tę historyę przedstawia nam obraz p. Szynalewskiego:

Dwunastoletni Jezus, prawdziwie Bóg-dziecina, z obliczem pogodnem, jasnem, natchnionem, boskiem — stoi pośród badawczo i ciekawie wpatrujących się w niego mędrców, doktorów i faryzeuszów. Na twarzach ich widać zdumienie wielkie—faryzeuszów wzrok pragnie do głębi nadzwyczajną duszę dzieciny przeniknąć; ale nie pojmuje mądrości jego, i upokorzon jest jego boskością— Mateńka święta uradowana, uszczęśliwiona, że po trzech dniach tęsknoty i żalu, znalazła najdroższe swoje skarby — rozpływa się w szczęściu, a duma szczycącej się tak mądrą dzieciną matki, napełnia serce jej szczęściem i rozkoszą. Jezus Jej właśnie powiada te słowa, których nie pojęła.—Izaliście nie wiedzieli, iż w tych rzeczach, które są ojca mego, ja być muszę. Jezus stawia się tu jako wysłannik Boży po raz pierwszy. — Widać to z Jego twarzy, z Jego ocząt prześlicznych tryskających natchnieniem, i z podniesienia rąk ku niebu — z wiarą i miłością Mistrza i Zbawiciela. Patrzącego w ten obraz przejmuje prawdziwie religijne uczucie— a błoga radość Matki Chrystusowej napełnia go nadzwyczaj miłą uciechą serca— umiejącego się cieszyć z bliźnich szczęścia. Pan Szynalewski uczuł dobrze myśl pisma świętego, i przedstawił w bardzo przyjemny sposób. Jego obraz sprawia nadzwyczaj miłe wrażenie.

Postąp teraz dalej szanowna Czytelniczko. Z spokojem i zadowoleniem nabytem w świątyni Jerozolimskiej, przybliż się przed tę oto grupę, która była smutnem i bolesnem następstwem właśnie takich głębokich nauczań Chrystusa—takiego przejęcia się Jego słowem— i silnej wiary w Jego prawdę. Po śmierci Zbawiciela nie upłynęło lat tak wiele, a wyznawcy Jego nauki, ścigani i prześladowani od nieprzyjaciół Boga i wiary świętej, kryć się musieli z modlitwą i z ofiarą świętą po lochach i niedostępnych grotach. Miecz prześladowcy sięgał w najgłębsze kryjówki. Synowie Chrystusowej nauki ginęli pod jego krwawemi ciosami. Dzieciom odrywano matki — matkom mordowano ich dzieci. Kto był chrześcianinem, na tym ciążyło piętno hańby i śmierci. Zhańbiony, zbezcześczony ginąć musiał męczeńską śmiercią za wiarę—i najlepszą prawdę z prawd świata. Oto patrz — Matka chrześcianka upadła na kolana, i rozpaczliwy wzrok wysyła w niebo ze skargą na śmierć zamordowanego dziecięcia... Zdeptany i złamany krzyż u stóp jej, i trupek dzieciny z nieoschłą jeszcze krwią, wypływającą z przebitego serca—obraz to silny. Zatrzymaj się przed nim dłużej — zwłaszcza, że piękny i wzniosły, i głęboko do duszy przemawiający. Obraz to, jak gdyby żywy, bo w kształtach naturalnej wielkości wyrobiony ręką rzeźbiarza. To rzeźba. Wykonał ją młody rzeźbiarz z Krakowa p. Parys Filippi, któremu za tę znakomitą grupę już wszystkie gazety najchlubniejsze wynurzyły pochwały.—Zatrzymaj się przed jego pracą. Puść swobodnie myśl twoję w czasy ubiegłe... pojmij tę boleść nieszczęśliwej matki, która na zamordowaną dziecinę wskazując jedną ręką, a drugą zwracając do złamanego krzyża—wyzywa Boga do pomsty nad nieprzyjaciołmi jego wiary... Przeniknij jej zbolałe serce,

goryczą przepełnione — a serce twoje i myśl twoja pobiegnie wraz ze wzrokiem tej chrześcianki do nieba — i zawoła wraz z nią gorąco i silnie: Panie! Panie! czemuś mię opuścił?!.

Posąg ten godzien kararyjskiego marmuru i miejsca w najpiękniejszej i najdroższej jakiej świątyni naszej; odlany jest dopiero jako model z gyisu; ale już teraz widać w nim klasyczny pociąg ręki artysty, odznaczający się szczególniej w prawdzie i lekkości draperyj, w całej naturalności każdego ruchu głównej figury, a uderzający przedewszystkiem podniesieniem głowy, pragnącej gwałtem (że tak powiem) już nie pokorą... ale rozpaczą— przebić niebiosa...

W tej myśli, która nie prędko z duszy twej uleci... zwróć oko twoje w pyszną, bogatą, uroczą i drogą nam tak wielce świątynię na Wawelu. Wpatrz się tylko z uwagą w ten obraz Aleksandra Gryglewskiego. Wpatrz się — a zapomnisz się i będziesz chciał może uklęknąć, bo oto w najdokładniejszem złudzeniu perspektywicznem ukaże ci się boczna nawa katedry krakowskiej, w którą wpatrzywszy się nieco dłużej, nie można się nie zapomnać na chwilę.. I widzimy głęboką odległość świątyni, której lewa ściana przemawia do ciebie pomnikami bohaterów... Widzisz Boratyńskiego... i słyszysz prawie, jak świątnik, sługa kościelny, oprowadzający z daleka przybyłych chłopków, opowiada im, co to był za jeden ten Boratyński, wojownik dzielny i wierny przyjaciel króla. I patrzącemu się z takiem religijnem przejęciem w tę nawę świątyni grobów naszych świętych... przyjdzie ci może na myśl, że tuby najlepsze było miejsce dla owej nieszczęśliwej matki chrześcianki p. Filippiego, o której niezapomniałeś jeszcze... Zaprawdę, obraz p. Gryglewskiego, bardzo zręczną perspektywą odznaczający się, przenosi patrzącego serce w to miejsce uroczyste, historyczne, gdzie tak dobrze dumać i marzyć—a najlepiej wierzyć i modlić się... Nie ubliżyłem religijnemu usposobieniu twemu, żem cię w religijne zatopioną obrazy przyprowadził przed to wnętrze nawy kościelnej ze zamku. Obraz to ładny i wielce dla nas drogi.

A kiedy już tyle pięknych rzeczy podniosło ku niebu myśl i serce twoje, przypatrz się jeszcze i temu obrazowi, który ci pragnął uzmysłowić cud świętej legendy o patronie twego narodu, o świętym Jacku. Święty Jacek, brat świętej Bronisławy, w towarzystwie przyjaciół swoich i uczniów, płynie po wzburzonej wodzie—z obliczem w niebo wzniesionem i błogosławiącem Panu. I w jakim też to statku, w jakiejże pysznej łodzi płynie ten święty ulubieniec Pana? — Taki spokój na jego obliczu — i taka wiara w jego oku, jak gdyby wiedział pewnie, że burza żywiołu nic mu nie zrobi złego.—Oto on płynie na statku wiary swojej, a kieruje i uspakaja go cud łaski Boga, nad wiernym synem i wyznawcą Jego. Święty Jacek wraz ze swymi towarzyszami płynie na płaszczu zdjętym z ramion swoich—i płynie spokojny, jakby w najlepszym wynalazku XIXgo wieku—i uczniowie jego wraz z nim spokojni i wierzący— a niewidzialni aniołowie pańscy kierują cudowną ich łódź. Przypatrz się temu obrazowi, i zważ sobie to dobrze, że wiara w Boga cuda stwarzać może na ziemi, a pokrzepisz tą myślą strapioną duszę twoję, bo wyrzekniesz się pewnie tego zwątpienia, które cię już nieraz grzesznie usposabiało ku Bogu.—Wzmocnij wiarą twoję duszę—a Bóg, jeśli mu zaufasz, nie odmówi ci i cudu swojego. — Piękną myśl tego obrazu, zawdzięczamy młodemu jeszcze i poczynającemu artyście p. Karolowi Sagnomskiemu; ś. Jacek jest dopiero pierwszym, większym utworem jego. Widać w nim zdolność i usilność — a przedewszystkiem widać to właśnie uczucie, które zapewne w późniejszych pracach tego artysty, jeszcze silniej niż teraz, do duszy widza przemawiać będzie.

Na uzupełnienie religijnej wędrówki twojej po Wystawie, muszę ci jeszcze zacna Czytelniczko pokazać kilka obrazów, które wprawdzie nie przemówią do duszy twojej tak silnie, jak te, co już widziałaś, które jednakże mogą się nazwać także religijnemi. Do tych należą kopie p. Kraffla, jako to: Najświętsza Panna Sykstyńska, kopia olejna z Rafaela, Najświętsza Panna z Dzieciątkiem, kopia olejna z Murylla, i Najświętsza Panna zwana della Ledia, kopia olejna z Rafaela. Przed każdym z tych obrazów, można nabyć uczucia religijnego — lubo ani w setnej cząstce nie wyrównają one wrażeniu, jakiego się doznaje przed ich oryginałami pendzla Rafaela i Murylla. Ta przynajmniej ich zaleta, że nie gorszą oka przesadą, ani taką znów niedokładnością kopii.—Pana Konstantego Dzbańskiego ze Lwowa były także trzy obrazy treści religijnej, z których pierwszy przedstawiał świętego Wincentego à Paulo, drugi świętego Wandalina, a trzeci zamordowanie błogosławionego Józefata, arcybiskupa połockiego przez schyzmatyków roku 1623 12 listopada. — Te prace mógłby tylko dobry rysownik należycie ocenić, są one dokonane kredką i ołówkiem. Ostatnia podoba się nam z układu osób i w ogóle z całego szkicu kompozycyi.—Pan Brzostowski nareszcie, właściciel zakładu snycerskiego w Krakowie, podał na Wystawę pracę jednego z swoich pomocników, wystawiającą w tak zwanej wypukłej rzeźbie, obraz Van-Dyka: zdjęcie z krzyża Pana Jezusa. Van-Dyk był znakomitym malarzem, ale jego obrazy nie dadzą się wiernie kopiować dłutem w drzewie. Praca więc ta cała, niewdzięczna — nie zaleca się niczem; a nawet głównym wymogom rysunku nie odpowiada. Nogi i ręce Pana Jezusa są zupełnie chybione.

(Dok. nast.)

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny.— Nakład Redakcyi.—Drukiem Fr. Xaw. Pobudkiewicza w Krakowie.